

RW2010

EQUUNCULUS

Romuald
Pawlak

ROMUALD PAWLAK
EQUNCULUS

Wydawnictwo RW2010 Poznań 2012
Redakcja techniczna zespół RW2010
Copyright © Romuald Pawlak 2012
Okładka Copyright © RW2010 2012

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Dział handlowy: www.marketing@rw2010
Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Utwór bezpłatny,
z prawem do kopiowania i powielania, w niezmienionej formie i treści,
bez zgody na czerpanie korzyści majątkowych z jego udostępniania.

Zmordowany Draco z trudem stawiał kopyta w grząskim błocku, parszkając z niesmakiem i kręcąc łbem nad głupotą swego pana. Ciężko pracował bokami, wspinając się na szczyt wzgórza, ślizgając się w koleinach wąskiej ścieżki. Sollari prowadził go na wodzy i klął na czym świat stoi.

– Niech cię szlag, Donnerheld! – mamrotał w ciemność z rzadka rozjaśnianą błyskami piorunów. – Na Boga, niech cię szlag za twą poradę!

Miał prawo być wściekły. Trafił na to wzgórze harwaldzkiego pasma Gór Czarnych za namową barona Donnerhelda, przyjaciela jeszcze z czasów pobierania nauk na uniwersytecie w Tybindze. „Jak już będziesz w okolicy, koniecznie musisz zerknąć na hardwaldzkie zamczyska – kusił Donnerheld, znając podróżniczą pasję Sollariego. – Są wspaniałe, zupełnie jak w tych twoich sentymentalnych romansach. Nigdzie indziej takich nie znajdziesz. I pogoda zwykle świetna, bezkresne widoki, mmm...”.

Tymczasem od kilku dni deszcz lał niemal bez przerwy. Sollari uciekł z zamku barona Noggeta, gdy tylko dotarły do niego wieści, że w okolicy panuje czerwona gorączka. Wciąż był w drodze, zmieniając zajazd za zajazdem.

Aż dotarł do Hardwaldu. Czyli do miejsca jeszcze gorszego, na które Bóg zechciał w swej łaskawości spuścić istny potop.

Naraz w kolejnym błysku pioruna Sollari zobaczył usadowiony na przełęczy, przytulony do jednego ze wzgórz zamek. Właściwie nie tyle nawet go zobaczył, co sobie wyimaginował, bo ułamek sekundy, gdy błyskawica oświetliła niebo, pozwolił na dojrzenie ledwie zarysu budowli. Reszta była fantazją, porywem serca pragnącego odnaleźć w tych górach coś, czego dotąd próżno szukało w dusznych bibliotekach.

Draco, bardziej przyziemny w swych potrzebach, musiał wyczuć stajnię. Rażno ruszył w tamtym kierunku. Sollari, rad, że nie musi poganiać wierzchowca, podążył za nim.

* * *

Być może dojrżeli go w świetle błyskawic, bo zakutani w peleryny stajenny i koniuszy już czekali na podróżnego. Ledwie przekroczył bramę, jeden chwycił uzdę konia, drugi pomógł Sollariemu zsunąć się z siodła. Zaraz też przekazali go zamkowej służbie, dwóm odzianym w czarne szaty, jakby nadnaturalnie rozrosłym mężczyznom. Ci twarze mieli chmurne, ściągnięte powagą. Powiedli niespodziewanego gościa do komnat.

– Jak się nazywa ten zamek? – spytał, podążając za nimi. – Co to za miejsce?

Milczeli, tylko w ich oczach pojawił się dziwny błysk. Jeden pozostał z Sollarim, drugi wyszedł z komnaty, by po krótkiej chwili wrócić z suchym ubraniem. Wtedy obaj zniknęli niby duchy, zostawiając przybysza w pełnej niepokoju zadumie.

Po kwadransie do drzwi zastukał wyniosły, mrukliwy majordomus.

– Baron von Ott oczekuje pana – rzekł i poprowadził podróżnika zamkowymi korytarzami wprost do sali gościnnej.

* * *

Stół był długi i... pusty. Służący wskazał Sollariemu jedno z krzesel, a w tej samej chwili do sali zaczęła wchodzić służba z potrawami na talerzach. Przybysz ze zdumieniem przyglądał się tej ceremonii. Czyż miała znaczyć, że jest głównym gościem? A gdzie gospodarz?

I wtedy otworzyły się drzwi w przeciwległym końcu sali. Do jadalni wkroczył baron von Ott. Był to przysadzisty, starszy, uśmiechnięty... karzeł. Mógł mieć ze cztery stopy wzrostu, nie więcej. Choć jak na prawdziwego karła był wysoki – na dworach i zamkach Sollari widywał dotąd znacznie mniejszych. Gość nie spodziewał się kiedykolwiek spotkać takiego człowieczka z arystokratycznym tytułem. Tymczasem zielony strój gospodarza pysznił się srebrnymi ozdobami, w świetle kandelabrow przy każdym poruszeniu rozsiewając wokół błyski.

– Jest pan zdziwiony? – spytał karzeł z nutką satysfakcji, pochwyciwszy spojrzenie Sollariego. – My, von Ottowie, zawsze byliśmy małym ludkiem...

Baron usiadł na swoim krześle, które było zaskakująco niskie, akurat dopasowane do jego wzrostu. Sięgnął ręką w poblizsze oparcia, rozległ się skrzyp korby i siedzenie z właścicielem zamku powędrowało w górę.

– Nowoczesność, nieprawdaż? – rzekł von Ott z uśmiechem. – Wspaniałe, wspaniałe czasy...

Dalszy ciąg kolacji upłynął im na miłych pogawędkach na różne tematy, w tym o przygodach pewnego rycerza, Don Kichote'a, którego dziejami baron wydawał się być wprost zafascynowany. Przytaczał Sollariemu co ciekawsze przygody, z pamięci cytował szczególnie smakowite fragmenty.

Wędrowiec nie potrafił się opędzić od myśli, że baron, choć niezwykle miły i rozgadany, jednak przygląda się mu nieco uważniej, niż zwykle czynią to gospodarze.

Von Ott machnięciem ręki zbywał kilkakrotne podziękowania za gościnę, namawiał do pozostania, kusił niezwykłościami okolicy, polowaniami. Sollari postanowił jednak wyjechać następnego dnia rankiem, choćby deszcz lał jak z cebra, a wiatr przesuwał góry. Coś szeptało mu w duszy, że baron pod rubaszną powłoką karła skrywa iście diabelskie przymioty. Podróżnik miał wrażenie, że coś się kryje za tymi zachętami, że zamek barona ma swe mroczne tajemnice, których bynajmniej nie pragnął poznać.

Tej nocy, kładąc się spać, przypadkiem powiódł spojrzeniem po wysokim suficie.

I wtedy odkrył na nim ciemną plamę, która wyglądała jak krew.

* * *

Rankiem, który okazał się nadzwyczaj słoneczny, Sollari ubrał się pospiesznie i zimnymi korytarzami powędrował w stronę stajni. Marzył o jak najszybszym opuszczeniu zamku.

Nie było mu jednak dane odjechać bez przeszkód. Po drodze zatrzymał go majordomus, który sprawiał wrażenie, jakby miał przykazane dyskretnie opiekować się gościem.

– Opuszcza nas pan? Barona nie ma, pilnie musiał wyjechać w interesach, a koniecznie chciał zamienić z panem jeszcze kilka słów – rzekł z niezadowoleniem, stając Sollariemu na drodze. – Prosił, żeby pan zatrzymał się choć na trochę. Nieczęsto ktoś tu zagląda...

Podróżnik wzruszył ramionami.

– Cóż, proszę mu podziękować w moim imieniu. I mnie wzywają ważne interesy, nie mogą czekać.

Majordomus patrzył na niego ponuro, twarz krzywił mu cierpki grymas. Sollari bez słowa przecisnął się obok niego i ruszył dalej, gotów na pokonanie kolejnych przeszkód. W świetle dnia zamek i jego mieszkańcy nie wywierali już na nim tak niepokojącego wrażenia, jednak pozostało poczucie spowijającej to miejsce tajemniczej aury.

Odetchnął z ulgą, kiedy zamknęła się za nim brama osadzona w ciężkich murach. Draco, zadbany, wyszczotkowany i najedzony, tryskał energią, jakby krótki pobyt w stajni dłużył mu się niby rok cały. Sollari najpierw dał wierzchowcowi puścić się swobodnym i radosnym galopem, później przyzwalał na skubanie soczystej trawy, gdy niespiesznie podążali traktem wiodącym pośród urodziwych, porośniętych gęstym lasem stoków Gór Czarnych. Te drzewa, pamiętające czasy zakutych w stal rycerzy, zdawały się bezgłośnie opowiadać mu tkliwie i ciągle

powracające historie ludzkich miłości i nienawiści. Zaczął ich słuchać w takt bębniącego kopytami Dracona...

W tę idealną symetrię wkradł się jednak nieoczekiwanie fałszywy ton – chrapliwe powarkiwanie dobiegające z jodłowej gęstwiny ze sto kroków przed podróżnym, na granicy wyciętego traktu. Coś się poruszyło na skraju zarośli, jakby zbójce urządzili tam zasadzkę. „Ale ci przecież nie warczą – przemknęła myśl Sollariemu. – Wilki natomiast...”.

W pośpiechu sięgnął po nowy wynalazek, dwulufowy pistolet z zamkiem skałkowym, który zawsze woził ze sobą. Poklepał konia po szyi. Ten chrapnął z przyganą, jakby chciał z dezaprobatą powiedzieć: „Przecież wiem”, i energiczniej wyciągnął nogi w galopie.

Naraz w miejscu, gdzie droga najbardziej przybliżała się do ściany lasu, z zarośli wyskoczyło stado wilków. Pędziły ze straszną szybkością w stronę Sollariego, dostrzegał jedynie ich rozmazane kształty. Draco z wysiłkiem starał się im uciec, podczas kiedy jego pan wycelował w sam środek grupy, wypalił z obu luf. Jedno ze zwierząt fiknęło kozła... Odrzucił bezużyteczny pistolet, sięgnął po szpadę, ale wilki już zabiegły wierzchowcowi drogę, otaczając go ze wszystkich stron. Koń zatrzymał się, wierzgnął rozpaczliwie, kolejny wilk z chrzęstem pofrunął w powietrze. Draco opadł na nogi, miażdżąc następnego napastnika. Jeździec dźgał szpadą powietrze, raz trafił wilka – wszystko to w rozpaczliwej walce o życie, z potem zalewającym oczy i sercem bijącym ostro, gwałtownie, ze słabnącą nadzieją...

Naraz przez stok przetoczył się krótki dźwięk trąbki – i wilki zatrzymały się jakby w pół ruchu, po czym odskoczyły w tył, poza zasięg szpady i kopyt.

Ośłupiały Sollari dopiero wtedy pojął, że pomylił się, by tak rzec, potwornie. Walczył bowiem nie z wilkami, jak myślał, lecz z karłami! Stworzenia te poruszały się na czworakach, lecz poza łapami oraz głowami wyciągniętymi w wilcze łby,

zbrojnymi w okrutnie zębiaste paszcze, były ludźmi. O ile karła można uznać za człowieka.

Lecz ich zachowania były prawdziwie wilcze. Przysiadły, nieruchome spojrzenia wbijając w podróżnego. Spróbował je wyminąć, ale wtedy w ich gardłach rozległ się gniewny charkot, choć żadne z tych monstrów nie próbowało skoczyć za Sollarim.

Tymczasem na trakcie za plecami nieszczęsnego wędrowca pojawił się ten, któremu zawdzięczał ocalenie. Był to von Ott we własnej osobie. Nie wypadało uciekać, choć taka właśnie myśl przyszła Sollariemu do głowy. Wstrzymał konia.

Karły zaraz przypadły baronowi do nóg, kręcąc się między końmi obu jeźdźców i popiskując jak małe, ślepe wilczęta.

– Cóż, myślę, że jednak nie odrzuci pan mojego zaproszenia, aby spędzić na zamku kilka dni – z zadowoleniem rzucił von Ott, podjeżdżając.

Sollari chwilę mierzył go zimnym, nieprzyjemnym spojrzeniem.

– A jeśli jednak ruszę dalej traktem? – spytał wreszcie.

Baron wzruszył tylko ramionami, wierząc się na wierzchowcu.

– Lepiej nie ryzykować samotnej podróży, panie Sollari. Niech pan uwierzy, w tych górach zdarzają się gorsze rzeczy niż wataha moich karłów. Jak się sobie znudzimy, dam panu ochronę i odjedzie pan, dokąd wolna wola wzywa.

* * *

– Niech się pan nie gniewa – rzekł baron von Ott podczas obiadu. Sollari z niechęcią skubał mięsiwo, nie wiedząc nawet, czy to jagnięcina, czy sarni udziec. Karzeł wydawał się jednak zadowolony z siebie i jadł za nich obu.

– Niech się pan nie gniewa – powtórzył z pełnymi ustami – ale cóż byłby ze mnie za gospodarz, gdybym pana puścił, nie pokazawszy wcześniej swojej hodowli? Jest naprawdę niezwykła, ręczę słowem honoru.

Podróżnik westchnął ciężko, ponuro.

– Zgoda, przyjrzyjmy się jej. Jednak jutro z rana chciałbym wyjechać.

Von Ott z radością zatarł ręce.

– No, to jest męska decyzja, to mi się podoba! – wykrzyknął. – Nie ma na co czekać, chodźmy! – Prawie zerwał się z krzesła.

* * *

Otoczeni kilkoma roslymi sługami niosącymi pochodnie, schodzili w dół, wciąż niżej, bowiem hodowla barona von Otta ukryta była w lochach biegnących głęboko pod ziemią. Wreszcie po pokonaniu niezliczonej ilości schodów i wąskich korytarzy baron pchnął dobrze okute drzwi z ciemnego dębu.

Ciasny korytarzyk wiódł do wielkiego pomieszczenia wypełnionego stołami oraz instrumentarium porozwieszanym na ścianach i zalegającym wnęki. Ten widok najbardziej przypominał Sollariemu inkwizytorskie katownie.

Baron otworzył małe drzwi w jednej ze ścian i gestem zaprosił gościa do środka, pozostawiając za sobą całą służbę. Było tu ciemno, żagiew wydobywała z mroku ledwie jakieś zarysy, kształty tym bardziej groźne, im mniej wyraźne. Lecz von Ott szybko zapalił świece w paru większych kandelabrach oraz w dwóch lichtarzach. Ujął w dłoń pięcioramienny świecznik w kształcie pentagramu i poprowadził Sollariego w głąb pomieszczenia.

Tu spotkali gospodarza tych lochów.

– Oto mistrz Cromalin – rzekł uroczyście. Jednak podróżnik dłuższą chwilę nikogo nie dostrzegł. Zaraz zrozumiał tego przyczynę – patrzył za wysoko, bo oto stał przed nimi jeszcze niższy od von Otta, czarno przyodziany karzeł. Kiedy uśmiechnął się z szacunkiem, Sollari dostrzegł rozdwojony język w jego ustach.

– Chodźmy dalej – zaprosił von Ott. – Obejrzy pan moją hodowlę. Druga okazja może się nie zdarzyć. – Z dumą skierował światło na wypełnione ciemnością wnęki przy ścianie.

W nich ludzie i karły trwali pogrążeni – jak podejrzewał Sollari – w jakimś narkotycznym letargu. Hodowla barona była – czego zdążył się domyślić wcześniej – żywym bestiariem. Tu jednak naocznie się przekonał, podążając za von Ottem, że naprawdę można człowieka zespolić z kotem czy posadzić na jego głowie drzewo, korzeniami sięgające w głąb mózgu.

– To arborak. Są jednością – wyjaśnił baron, dostrzegłszy zainteresowanie gościa. – Pełne zespolenie człowieka i natury, jedność i wynikająca stąd synergia zamiast podległości jednego wobec drugiego.

Podążyli dalej, w milczeniu oglądając kolejne eksponaty. Baron ożywił się dopiero przy dużej wnęce, gdzie wisiało lub stało kilku ludzi wygiętych w kształty liter.

– To tylko przymiarka – stwierdził z niejakim żalem. – Chciałbym kiedyś ułożyć z nich sonet, ale mam kłopot z niektórymi literami, na przykład „Ö” ciągle mi umiera... – Westchnął ciężko. – Przyjdzie mi więc chyba napisać go po łacinie, choć to takie niedzisiejsze!

– A to jest mój najciekawszy eksperyment. – Baron ruszył w stronę następnego nieszczęśnika i Sollariemu nie pozostało nic innego, jak podążyć za karłem.

Z haka zwisał człowiek wyglądający jak pusty worek ze skóry. Jego twarz miała nieobecny wyraz – spojrzenie utkwione w przybyszu zdawało się nie znajdować oparcia, przenikało na wskroś, wybiegało daleko, sięgając dna Ziemi albo i gwiazd widocznych z Indii Zachodnich.

Baron potwierdził przypuszczenie Sollariego:

– Wyluzowaliśmy go niby kawał mięsa, by tak rzec. Nie ma w nim ani jednej kosteczki, udało się nam wyjąć nawet czaszkę, wyobraża pan sobie? Pracujemy nad tym, aby wyczuścić jego nerwy na muzykę sfer niebieskich. Kości, niestety, zakłócały te subtelne drgania, trzeba je było usunąć. A tak jeszcze tylko dostroimy go i...

– Chodźmy już stąd – przerwał mu podróżnik. Czuł się coraz gorzej.

Von Ott pokręcił głową.

– Cóż, wracajmy, skoro nie fascynuje pana moja kolekcja... – rzekł z niezadowoleniem.

* * *

Wieczorem Sollari odesłał sługę, który przyszedł z wieścią, że wieczerza już gotowa. Kazał baronowi powtórzyć, że źle się czuje i prosi o wyrozumiałość.

Naprawdę czuł się paskudnie. Drażzył go zimny, przenikliwy, mrozący krew w żyłach strach. Obawiał się, że karzeł dosypie mu czegoś do jedzenia, truciznę czy inną miksturę, która zamieni go w jednego z tych potworów, w hodowaniu których lubował się von Ott.

W nocy postanowił spróbować ucieczki.

I gdy tak snuł plany ocalenia, przy oknie rozległo się ciche skrobanie, a kiedy Sollari się zbliżył, do pokoju zajrzała obramowana księżycową poświatą twarz. Karzeł-nietoperz zagroził wyjście, rzucając podróżnikowi groźny uśmiech. Ostre kły niemilo kontrastowały z ciasno stulonymi skrzydłami, które wydawały się bardzo kruche.

Sollari zaszlochał. Zrozumiał już ponad wszelką wątpliwość, że znalazł się w niewoli barona.

* * *

– **A**leż proszę jeść, Sollari – rzekł von Ott. – Umrze pan z głodu, jeżeli nie będzie pan jadł, a tego byśmy nie chcieli, prawda?

Ostatnie słowa barona zabrzmiały jak złowieszcze ostrzeżenie.

– Czy... – podróżnik nerwowo przełknął ślinę. – Czy mnie też zamierza pan umieścić w swojej galerii potworów?

Przez twarz karła przemknął grymas irytacji.

– Nie w swojej – wyjaśnił krótko.

Przez chwilę w milczeniu operował sztucami. Wreszcie przełknął kęs pieczystego, odchrząknął i rzekł:

– Pan mnie przecenia, Sollari. Nie jestem aż tak zachłanny... ani tak okrutny. Czy pamięta pan swój pobyt w Tybindze? Hrabia Novennus już wtedy sobie pana, by tak rzec, upatrzył, tylko okazja się jakoś nie nadarzyła. Więcej, drogi Sollari: gdyby nie nasz nieoceniony baron von Donnerheld, marzenie Novennusa wciąż pozostałoby niespełnione.

Więziem niemal zachłysnął się winem.

– Donnerheld mnie tu skierował?

W oczach von Otta zabłysła prawdziwa radość. Skinął głową i wrócił do oczyszczania bażanciej piersi z resztek mięsa.

– Ale przecież mogłem tu nigdy nie trafić – zająknął się Sollari.

– Jesteśmy częścią natury – odparł uprzejmie karzeł. – Czasem ona nam przeszkadza, ale czasem pomaga. Jak w tym przypadku. Byliśmy przygotowani na interwencję, gdyby zechciał pan zboczyć z właściwej drogi do zamku, ale żywioły nam sprzyjały. – Oczy barona wydawały się uśmiechać, choć reszta twarzy nie zmieniła wyrazu.

– I co zamierza pan ze mną zrobić? – spytał podróżnik. – Mam nadzieję, że będzie to przynajmniej warte mojego strachu i cierpienia?

Karzeł zamyślił się na chwilę.

– Hrabia Novennus chciałby pana zamienić w pajaka. To się da zrobić, jak sądzę. Całkiem interesujący projekt, pełen inwencji. Wyzwanie dla mego mistrza-kreatora.

– Jestem człowiekiem! – piskliwie krzyknął Sollari. – Nie wolno panu tak mnie traktować!

Baron lekceważąco machnął ręką.

– Wolno, wolno... A co do tej deklaracji, przykro to mówić, ale w tej chwili to z pana raczej homunkulus. Produkt. Jeszcze co prawda niegotowy. – Zaśmiał się chrapliwie.

Sollari milczał przytłoczony. Nikt nigdy go tak nie potraktował.

– A dlaczego hoduje pan karły? – spytał wreszcie cicho, przygnębionym głosem. – Dlaczego je także?

Z początku odpowiedział mu tylko nieprzyjemny rehot von Otta.

– Dla ludzi jestem karłem, panie Sollari – rzekł w końcu baron – dla karłów zaś człowiekiem. Czy wspomniałem, że kogoś, kto znajduje się pośrodku między wami, stać na bardziej uniwersalne i pełnowymiarowe spojrzenie? Korzystam z tego w pełni.

A po chwili dodał:

– I jedni, i drudzy jesteście dla mnie tylko nędznymi homunkulusami, niczym więcej. Można was kształtować do woli, ze strachu i bojaźliwej miłości lepić w dowolne kształty, czego dowodzę co dnia. A czy wy potraficie to robić? Słyszał pan o czymś takim? Niech pan sobie sam odpowie. – Odłożył sztucce, wstał i wzięwszy z ręki sługi świecę, podążył w stronę swoich komnat.

* * *

Znów zstępowali w dna piekieł. Lecz tym razem Sollari stawiał kroki po stopniach, wiedząc, że czyni tak po raz ostatni, że podąża drogą, z której nie ma odwrotu. Biernie zmierzał ku swemu przeznaczeniu, pustym wzrokiem wodząc po murach, sługach i łuczywach, jakby nie odróżniał ich od siebie. Wreszcie pojmował, czemu wzrok tego bezkościelca przebijał go na wskroś i uciekał w sfery niebieskie. Po transformacji ludzkie sprawy były niby mgła niezdolna zatrzymać myśli w swobodnym locie.

Po jakimś czasie, który równie dobrze mógł trwać kwadrans, jak i rok, baron zatrzymał się. Poczekał, aż pojawi się gospodarz tych lochów, mistrz Cromalin.

Wtedy słudzy rozdiali więźnia do naga. Stał, nie czując chłodu.

– Położymy pana wygodnie tutaj, na stole... – nakazał Cromalin, wskazując Sollariemu jeden z mebli. Głos miał melodyjny, mocny. Mówił niczym medyk, który wie, z jakiej choroby chce wyleczyć pacjenta i zna skuteczne lekarstwo na tę przypadłość.

Istotnie, ułożyli więźnia wygodnie, jednak ten brak zbędnego okrucieństwa przeraził podróżnika najbardziej, bo było to jeszcze bardziej nieludzkie niż tortury. Później zaś niższy z karłów przysunął do ust Sollariego czarkę jakiegoś płynu, który ten posłusznie wypił. Wkrótce ogarnęło go ciepło, kojące wrażenie zagłębiania się w miłe gorącej wodzie. Zapadł w odrętwienie podobne do płytkiego snu.

Naraz przy jego uchu rozległ się głos barona:

– Przyznam się panu do czegoś, Sollari – zamruczał ten. – Biorę pieniądze od takich jak von Noggat, bo potrzebuję ich na swoje badania, na opłacenie Cromalina. Pieniądze czynią mnie wyższym. – Von Ott zaśmiał się z zadowoleniem. – Prawdę mówiąc, czynią mnie wyższym od niejednego człowieka, panie Sollari. Ja to po prostu lubię. Karły nie mają nic do tego. Gdyby ich nie było, używałbym pasterzy albo ich owiec.

Odstąpił od stołu i nad Sollarim znów pochylił się Cromalin. Długą chwilę ugniatał mięśnie i badał kości więźnia.

Naraz baron zmarszczył nos.

– Wiesz, Cromalinie, zmieniłem zdanie – rzekł.

Na twarzy Sollariego pojawił się nieśmiały cień nadziei. Kto wie, może zaraz usłyszy wyznanie, że to tylko okrutny żart karła?

– Nie zamienimy pana w człowieka-pajaka – ciągnął tymczasem von Ott. – To byłoby zbyt proste, szkoda materiału. Oglądałem w stajni pańskiego wierzchowca... zaiste, piękny. Nigdy dotąd takiego nie widziałem.

Baron zamilkł na chwilę.

– Equnculus – powiedział. – Koniochłęk. A w zasadzie koniohumunkulus. W takie stworzenie przeistoczymy pana wprawną ręką mistrza Cromalina. Później zaś znajdziemy panu partnerkę i wypuścimy was na stoki wokół mojego zamku. Jak pięknie by było doczekać stada dzikich equnculusów... Tak, panie Sollari, zdecydowałem się zrealizować jedno ze swych marzeń, wcielić je w życie. W sposób może niedoskonały, ale cóż...

Po policzku Sollariego spłynęła gorąca, samotna łza, zaraz jednak wyschła. Środek oszalamiający działał, obejmował go w niepodzielne władanie. Zapadał w sen pełen wizji.

I w tych majaczeniach ujrzał naraz rozświetloną słonecznym blaskiem wiosenną łąkę pełną soczystej trawy, pachnącą rześkim wiatrem i wołającą o dzikie galopady.

„Equnculus – pomyślał, i była to jego ostatnia ludzka, świadoma myśl. – To brzmi pięknie”.